

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.



Lwów, 13 sierpnia 1847.

Rok ósmy.

Wychodzi co drugi czwartek regularnie; do każdego numeru dołączona jest rycina mód paryskich z dokładnym opisem. Kosztuje w miejscu półrocznie 5 złr. 15 kr.; całorocznie 10 złr. m. k.; na prowincji dolicza się przesyłka pocztowa do cen powyższych półrocznie 48 kr. m. k. Prenumerować można we wszystkich urzędach pocztowych, tudzież w redakcji pod nrem 301.; we Lwowie.

M O D Y.

Paryż, dnia 23 lipca 1847.

Stroje damskie. W tej chwili same tylko przygotowania do wód robią się, a Paryż będzie wkrótce opuszczony przez wielką liczbę swych mieszkańców, z których jedni dla ratowania zdrowia, drudzy aby się nasycić wiejskim powietrzem porzucić będą miejskie mury. Stroje przygotowane do tych wycieczek są wszystkie prawie z lekkich materij, jakoto: muszlinów indyjskich lub wełnianych, żakonetów, brylantyny i t. p.; w jednym z głównych składów tutejszych widzieliśmy następujące całkowite stroje: Suknia z zielonego fularu, trzy razy szerokimi w zęby wycinanymi szlarkami obszyta, z wyciętym i marszczonym stanikiem, z półdługimi rękawami, obcisłymi w górze a w dole znacznie szerszemi i obszytymi szlarką, spodnie rękawki muszlinowe; muszlinowy haftowany kołnierzyk, dwa razy rurkowaną korunką obszyty, z zielonym fontaziem; różowa krepowa kapotka, wstążkami ubrana. Suknia z różowego bareżu, dwa razy czarną korunką obszyta; stanik zachodzący na ramiona, z przodu do połowy rozarty, z wyłogami strzępioną szlarką obszytymi, rękawy półdługie; biały kitajkowy płaszczyk, cztery razy szlarką obszyty; różowy krepowy kapelus, korunką pokryty i bukietem róż ubrany.

Suknia z kitajki mienionej różowe z niebieskiem, pięć razy czarną korunką obszyta; stanik wysoko na ramiona zachodzący, z przodu do połowy otwarty i korunką obszyty. Muszlinowy kołnierzyk; czarny korunkowy płaszczyk; łyżkowy kapelus, różową kitajką podszyty, korunką i kwiatami obszyty.

Suknia z indyjskiego muszlinu, dwa razy korunkowymi falbanami białymi obszyta, a nad każdą falbaną szeroka różowa wstążka w rurki układana; sta-

nik wycięty; krótkie rękawy korunką obszyte; korunkowa pelerynka fontaziem, z różowej wstążki spięta; kapelus z przezroczystej słomki, białymi wstążkami ubrany.

Suknia z liliowego żakonetu, z trzema takimiż falbanami, z których każda korunczką obszyta; stanik wycięty, rękawy półdługie, muszlinowa haftowana pelerynka, korunkową szlarką obszyta; ryżowy kapelus, drobnymi kwiatami przystrojony.

Stroje męskie. Przy surdutach dają kołnierze zaokrąglone i tak wykrojone, że wyłogi dają się aż pod samą szyję zapinać; inne znowu surduty są tak robione, że kołnierz i wyłogi całkiem się wykładają.

Kamizelki po największej części wykładane i bardzo długie; są i takie, co się pod samą szyję zapinają.

Spodnie noszą szerokie i bez strzemiączek.

Rycina przedstawia: Kapelus ryżowy, ubrany różami bez liści; suknia jedwabna *à la Mazarin*, ze stanikiem gładkim, do połowy wyciętym, z wyłożeniem w okrąg wykrojonem, obszytem drobnutką cykorią; rękawy otwarte, spięte, tylko w samej górze i na łokciu, a z pod nich wyglądają białe muszlinowe; kołnierzyk *à la religieuse*.

Ubranie na głowie z włosów *à l'anglaise*; suknia bareżowa krojem redyngocikowym; stanik gładki, w kształcie serca wycięty; przy spodnicy bardzo szeroka falbana, której wierzch zakryty trzema dużymi fałdami; rękawy bardzo krótkie, drugie muszlinowe, które tylko do pół ręki dochodzą; kołnierzyk haftowany, rańtuch z chińskiej krepki; kapelus z przezroczystej słomki; rękawiczki jedwabne siatkowe; chustka do nosa *caprice*.

KONKURENCIA EKONOMA.

I.

Za bramą, za sztachetami parokorny zatrzymał się wózek.

Wolnym krokiem, z postawą pokorną, przechodzi podworcem, ku drzwiom dąży pewien wysoki, chudej, sędziwej a wąsatej twarzy mężczyzna, w odzieży środkującej między surdudem a staropolską kapotą; w ręku jego laska i papiery obwinięte w bibułę.

Byłto ekonom szukający służby. Zatrzymał się w przysionku; po długim krzäkaniu za drzwiami wchodzi do kredensu.

Kredens, jestto pokój, którego ściany rzadko dostępują honoru bielienia, a podłoga mycia; mieści w sobie zawsze szafę wielką, kredensem zwaną, i wielki stół jeden prócz innych sprzętów, jakoto: kufereków, łóżek, szczotki do zmiatania i konewki na wodę i t. p.

W izbie, do której wstąpił ekonom szukający służby, cały rój dworski zebrany, otaczał jeden róg długiego stołu.

Tu poznałbyś lokaja po amarantowej kamizelce, kucharza po szlafmicy, ogrodnika po kożuchu, a po wąsach furmana; usmolony kopciuszek wyobraża kuchtę. Grającym w druźbarta przypatruje się z boku dziewczyna z zimną duszą w ręku, a dopelnia ten swojskokredensowy obrazek żebrak, który po jałmużnę przyszedłszy do dworu, zapomniał pokory i pacierza, zabawą (której jest widzem tylko) zajęty.

— A do kogo wasan masz interes? zapytano już długo czekającego ekonoma.

— Z jaśnie wielmożnym panem radbym pomówił.

— To trzeba czekać.

— Ekonom podparł obie ręce na lasce i czekał, aż na druźbarta padła dola, i zakończyła kredensową partię.

JW. hrabia, dziedzic, byłto kawaler młodego wieku, który edukował się w Genewie, gdzie zegarki robią.

Ekonom wprowadzony do apartamentu, zastał pana przy fortepianie, w szlafroku z turecka zakrojonym, z feską pousową na głowie; w spodniach amarantowych z kutasami na przodzie i żółtych botynkach. Młody jw. pan fantazjuje, palcami błyszczącymi od pierścionków przebiega po klawiszach, skacze z walców Strausa do ponurych Szopena nokturnów. Dudni fortepian, cały pokój, cały dom pełen wrzaskliwej muzyki; podług padania lub wznoszenia się tonów, wznosi się, to znowu aż ku klawiszom nachyla się głowa grającego, a twarz jego raz się

wdzięczy i uśmiecha, to znowu dziko się marszczy, wtorując taką mimiką łagodnym lub dzikim z klawiszów wrywanym tonem.

Ekonom u drzwi stei i słucha, wreszcie pokaszliwać zaczyna.

Nastąpiła przerwa w graniu. Na pokorne przedstawienie się suplikanta jw. pan przymrużonemi oczyma wpatrzywszy się w posadzkę, zawołał:

— A prawda, przypominam sobie, i uciąwszy na dobitkę długą, po całym fortepianie przebiegającą ruladę, zerwał się z krzesła tak żwawo, że ekonom o trzy kroki w tył odskoczył z zadziwienia.

— *Avant tout*, rzecz pierwsza, którą otwarcie proszę pana mi powiedzieć, to jest: swoje nazwisko, bo nazwisko podług mnie, charakteryzuje człowieka; mam pewne uprzedzenia do imion; bywają nazwiska tak rażące ucho...

— Ekonom na wezwanie pana przeslabizował swoje nazwisko.

— Jako? Leszczyński? To imię robi panu honor. Marie Leszczyńska figurowała na tronie francuskim, to była piękna osoba, ale nie tak piękna, jak że miała w twarzy coś *de si tendre*; pokażę portret królowej Marii, pastelami malowany. Wineszuję panu tego nazwiska. Tu młody pan zbliżył się do ekonoma jeszcze bliżej, i z pewną poufalością zagadał:

— Panie Leszczyński, familia pana może zrobić jakieś pretensje do pokrewieństwa z upadłą linją Burbonów.

— Tak dalece nie wiem o tem, jw. panie; odpowiedział ekonom.

— Nie wiesz? dziwna obojętność! To rzekłszy młody jw. pan przystępuje znowu do fortepianu, i lekką, posuwistą ręką wycina piano zaczęty, a wrzaskliwie się kończący akordzik.

— JW. pan pozwoli pokazać sobie atestata? zagadał ekonom.

Hrabia wstaje, zbliża się do suplikanta i po namyśle, po głębokiej rozwadze, mówi:

— Panie Leszczyński! poważam pana.

Ekonom nisko się skłonił na te słowa, i jak przystało, schylił ręką do kolan jw. pana; po staropolsku uściśnął pańskie kolanko.

Młody hrabia odskoczył na trzy kroki w tył, wpatrzył się bystro w twarz ekonoma.

— Wymawiam sobie bardzo, dodał ostro, uważać we mnie człowieka równego sobie; proszę zatem pana nie poniżać się tak dalece; minęły czasy tyranstwa, feudalizmu, tego upadam do nóg; wiek XIX, w którym żyjemy, jest wiekiem filantropii. To są

moje maxymy, od tych nie odstępę, te chcę zaprowadzić w moich dobrach. I jak tylko urządzę moje dobra, szczęście moich poddanych będzie natenczas moim celem, moją myślą, mojem filantropiczmem staraniem. Przyznam się panu szczerze, że ja myślę, dumam nad podźwignięciem tak nisko upadłego stanu włości moich. Ja myślę rozgłosić przez wójtów moich, ażeby kiedykolwiek wyjadę w pole, chlopi przy robocie będący, a zwłaszcza podczas gorącego żniwa, nie zdejmowali czapek przedemną. Jak się to panu zdaje?

— JW. panie, odrzekł zapytany; jak słonko dopiecze, chłop rzuci sam czapkę z głowy, bo mu za wadza.

— Takie jest zdanie pana? ja inaczej trzymam w tej mierze. Potem, kontynuował pan; ja wprowadzę inne podobne reformy, i tak naprzykład...

— JW. panie, przerwał ekonom; przedstawiam moją prośbę; mam atestata...

— Proszę mi pokazać; ale nie, wprzód jeszcze objawię moje uwagi o atestatach; proszę pana mnie posłuchać.

Ekonom zaczyna słuchać.

— Atestata, to ja nigdy nie pochwalę; ponieważ zdaniem mojem, na coż mówić, albo i pisać atestata, kiedy mamy na to słowo polskie: zaświadczenie; podobnież holdownicy przestarzałego empiryzmu piszą: rejestra, officialista, remanenta; to są stare, przedawniałe rzeczy i słowa; albo naprzykład ten wyraz *expens*, czyliż to polski? to jest słowo obce, co się wcisnęło do polskiego gospodarstwa; wyrzucić go, zwłaszcza, że mamy tak pięknie brzmiące słowo np. *dochód*. Ale i ekonom także popolitością trąci; dla tego (jeżeli pan nie weźmiesz za złe) będę pana tytułował *Wirtschaftsrathem*. Czy przystaniesz pan na moją propozycję?

Ekonom milezał. Młody pan zapalił sobie cygaro i stanąwszy przed ekonomem mówić zaczął:

— Pan widzisz sam, że dobra moje, które posiadam, są znaczne; 1400 morgów pola, lasu 1000 morgów bez jednego; ziemia, jak to mówią po staropolsku, egipska; u mnie, jak to ktoś powiedział chłopskiem przysłowiem— które sobie zanotowałem— jest mąka i łąka, ryby i grzyby.

Jestto kondycja, której równej szukać w zagranicznych cywilizowanych gospodarstwach.

— Dobra moje odziedziczyłem po stryjecznym dziadku, hrabi N.... Mój dziadek, mówił dalej pan, siadając pompatycznie w miękkim fotelu; hrabia N...., mój dziadek, było stary magnat polski, pan całą głębią, kawaler orderów, szambelan królewski. Panie

Leszczyński, musiałeś słyszeć o nim; położył wielkie zasługi w kraju, wydał krocie na zakupienie rzymskich medalów i kameów.

— JW. panie, przedstawiam moją prośbę.

— A dobrze! zerwał się raptownie jw. pan.

— Kończmy nasz interes. Pan proponujesz mi swoją służbę.

— Ośmielam przedstawić się jw. panu; mam długoletnią praktykę, dziękować Bogu, znam się i na roli...

— Jeśli tak jest, to bardzo dobrze; proszę pana podać mi rękę, tak po przyjacielsku, a ja ofiaruję panu pensję *plus minus* 200 reńskich w monecie konwencjonalnej; na mój honor, nie mogę panu ofiarować mniej, bo nawet mój ogrodnik bierze tyle.

— A ordynaria, jw. panie?

— To zależy będzie od mojej dyskreccii; odpart młody pan dumnie; ale za to konie pana — sześć koni, czy będzie dosyć? — te będą na moim owsie, krowy na mojej trawie; inne bagatelki potrzebne do domu i do kuchni, np. papier, ołówki, lak, masło, słonina, światło i t. d., o tem pomówimy później. Zaręczam honorem, że będę patrzył przez szpary na takie rzeczy; ale będziesz może potrzebował stancii i kuchni, i tę wyznaczę pod warunkiem: ażeby stancja była bieloną przynajmniej raz na tydzień; czystość jestto moja słaba strona; to już wszystko — ale przypomniałem sobie, jeździłem wczoraj konno do mojego sąsiada, barona; jestto najprzyjemniejszy człowiek w świecie, dom jego montowany *à la mal-maison*, otoż podał mi myśl, którą przyjąłem; posłuchaj mnie, panie Leszczyński. Jesteś moim rządcą; my się pogodzimy, myślę liberalnie, złożysz mi kaucję na czas funkcii, niewielką, tylko 20.000 reńskich w monecie konwencjonalnej. Ta kaucja zostanie u mnie w depozycie bez procentu przez rok, może tylko miesiąc, może i krócej, dopóki będziesz w służbie u mnie. No coż, przystaje pan Leszczyński?...

— JW. pan żartuje z chudego pacholka; odrzekł ekonom.

— Jakto?

— JW. panie gdybym miał taką sumę, bez urazy jw. pana, ja sam trzymałbym sobie ekonoma.

— *Comment? que ce qu'il dit?* To jakiś ordynarijny impertinent. Hej! Johann! drzwi pokazać panu Leszczyńskiemu. *Comme j'aime maman*, jeszcze mi się coś podobnego nie przytrafiło.

Na głos jw. pana wpadł do salonu Johann w amarantowym spencerku, i temiż drzwiami wysunął się nasz ekonom z salonu; dopadłszy wózka, wiózł

dalej swoje atestata. — dnia następnego wstępował do innego dworu.

II.

— Kto tam? co to za człowiek? jeśli pogorzelec jaki, wypędzić; a to straszna rzecz, znowu zgorzało jakieś miasto; pamiętajcie nie wpuszczać do mnie żadnego z tych włóczęgów.

— W. Panie, to jakiś ekonom, co szuka służby.

— Co? ekonom? potrzebuję ekonomia; mój uciekl, a podobno na prawdę; żaden się nie zgłasza; wołać go do mnie, niech przyjdzie.

Wyszedł służący.

Było dzień powszedni, godzina 10 ranna. Pan dziedzic z brodą grubo zarośniętą (ta wyglądała już niedzielnej brzytwy), w czerkiesce z kudłatej bai kawowego koloru, z czubem rozezochranym, w szarawarach i juchtowych bótach, które poranna konna jazda obryzgała błotem orných pól i mokrych łąk; spojrział na barometer w oknie wiszący i wziął się do nakładania drejkienigiem drewnianej swojej fajki, kiedy drzwi się otworzyły i nasz w konkurencji o służbę jeżdżący ekonom wstąpił do pokoju nisko się pokłoniwszy, blisko drzwi się zatrzymał i stanął w postawie suplikanta.

— U kogo asan służył? zapytał pan.

— Byłem za ekonomia u pana chorążego!

— Wiele lat?

— Do śmierci, w. panie.

— Do czyjej śmierci?

— Do samej śmierci pana chorążego.

— W jakim wieku był ten twój pan chorąży? Ale to mniejsza, teraz i starzy zaczynają mieć rozum i uczą się od młodych. Jakie czytywał książki twój pan chorąży?

— Tak dalece w. panie...

— Ale to mniejsza; książki, pisma, to wszystko głupstwo. Czy umiesz pisać?

— Ja w. panie?

— No pytam się, czy jesteś kaligrafem?

— W. pan się pyta, czy ja grafem, chyba się przeszłyszalo....

— No, widzę, że tu łopata trzeba kłaść w głowę; pytam się, czy umiesz pisać czysto, jak się należy, bez żydów.

— Nie chwając się, w. panie, łacińskie pisanie z formą rozumię, a jak tego potrzeba, to i cyrkularz niemiecki potrafię przepisać bez felera.

— To mniejsza, od tego płacę mandatariusza. Ale muszę asana wziąć na examen. Czy masz żonę? he, co? bo to z tymi żonatymi ekonomami tylko kłopot jeden więcej na głowie; bo to niedosyć

żona, ale zaraz muszą być i dzieci i gęsi i podobne rzeczy.

— Moją, w. panie, drugi rok temu pochowałem.

— To źleś asan zrobił, żona potrzebna ekonomowi; gdzie ekonom kawaler, tam zawsze bywa jakaś niemoralność, ale to mniejsza. Wasan podobno nosisz wąsy?

— Do usług w. pana.

— Co to, trzeba się starać to pozbyć; bo to nie te czasy co dawniej; nie łatwiejszego, jak unieść się pasią, pobić, skrwawić poddanego, ztąd dominium ma tylko nieprzyjemności, komisie; to sobie wymawiam, bez potrzeby nie bić, ale to mniejsza; muszę asana wziąć na examen. Jakie tam było gospodarstwo u twego pana chorążego? co? trzypolowe może? he? zostawialiście ugorki? co? he?...

— Wedle tego, jak na którą rękę przypadło; odpowiedział ekonom.

— Powiedz mi asan, sadziliście buraki? wiele morgów pola poszło pod buraki?

— Tak dalece w. panie... to tylko ogrodnik zasadzał na grządkach.

— No, dosyć tego, złą mam opinię o tym twoim panu chorążym, ale to mniejsza; powiedz mi asan, wiele cetnarów pognoju szło na morg pola?

— Tak dalece, w. panie... takie rzeczy nie ważyły się u nas.

— Nie umieliście gospodarować; ale to mniejsza; powiedz mi asan, co myślisz w dzisiejszym stanie gospodarstwa, co jest korzystniej, czyli siać żyto na zieloną paszę, czyli zostawić po staremu na ziarno?

— W. pan wybaczy, alem nie zrozumiał, boć przecie jak długo żyję i gospodaruję, siało się żyto na to, ażeby zbierać z niego żyto, nie zaś siano.

— Ale bo asan nie masz ani wyobrażenia nawet o gospodarstwie, a twój pan chorąży — szkoda że umarł — powiedziałbym mu że głupi. Ale to mniejsza; powiedz mi asan, kartofle jakieście sadzili?

— Sadziliśmy w. panie tak zwyczajnie rękami.

— Co rękami? po staropolsku? Ubolewam nad tym twoim panem chorążym, który dzielił pola na ręce i ziemniaki sadził rękami; u nas nie potrzeba już rąk.

— Jaktó, w. panie?

— Maszyny, wszystko maszyny za nas robić będą; siać i sadzić, zbierać i młócić; na co tu rąk, nie potrzeba, obejdzie się bez rąk; ale co tam gadać o tem, ani asan, ani ten twój pan chorąży nieboszczyk, tego nigdy nie zrozumie. Ale, jedno pytanie jeszcze: mieliście tam gorzelnię, co?

— Była w. panie u nas i gorzelnia.
 — Wieleście odbierali z korca ziemniaków? powiedz, tylko bez fanfaronady, powiedz mi asan pierwszej, wiele się zacierało? raz czy dwa razy na dzień?
 — Zacierało się w. panie 10 korcy ziemniaków.
 — Co, 10 korcy! w tych czasach?
 — Dodawało się i zboża, odjemnizny nieco.
 — I to asan poważyleś się nazwać gorzelnią? ale to mniejsza, wieleście odbierali w tej gorzelniczce?
 — Odbierało się różnie w. panie, jużto największej, kiedy dociągnęło do 30 garcy.
 — No, to ujdzie jeszcze, ale na wiele gradusów spirytus?

— My w. panie odbierali witkę.
 — Co? co? witkę?...
 — U nas bo był kocioł ten z węzami piorunowymi...

— Idźże sobie asan do trzysta piorunów. Co to jest! krzyknął zagniewany pan; to asan na kpinny do mnie przyjechał, czy co? W tych czasach witkę ciągnąć? ha! coś podobnego jeszcze mi się nie trafiło; i jakim to czotem poważyl się asan przychodzić do mnie i starać się u mnie o funkcję ekonoma. Zaraz mi się wynoś z twojemi piorunami, bo mnie już pasja brać zaczyna, wynoś się ztąd i szukaj sobie służby u twego pana choreżego nieboszczyka, do kroćset sto tysięcy....

Słowa zagniewanego pana rozlegaly się po całym domie wtenczas, kiedy nasz ekonom na swoim wózku wiózł dalej swoje atestata.

III.

Wózek parokonnny, wiozący naszego o służbę konkurenta po kolei z jednej do drugiej wioski, uwiązgnął nareście w kałuży przed karczmą, co należała do wioski zwanej Starocice, gdzie pani X... sędziwego już wieku osoba mieszkała i gospodarowała.

Ktoż nie zauważy, iż w przeciągu ostatnich lat dwudziestu, równie jak miasta i wiosek wiele przybrało postać inną. Przez długi przeciąg czasu kraj nasz zostawał w dawnym swoim spokojnym stanie, dopiero w epoce, w której żyjemy, obudził się jakoby z uspienia i kilka zrobił już kroków na drodze ulepszenia. Powoli zaczęły znikać jedne po drugich glinkowate one dworki z ganeczkami, na to miejsce murowany dom rozwinął się na górze; białem albo żółtem licem obrócony do gościnea, rozweselił okolice otoczywszy się angielskim ogrodem. Miejsce starych, spaczonych stodoł, które zbutwiały strzechą sięgać się zdawały ziemi, spiklerzyka z pruchniałym gankiem, folwarku z piekarnią i tych sta-

jen i okótek, które acz podpierane z każdej strony, groziły upadkiem, widzimy teraz długie, w murowane słupy, pawilony gumien, w ich pośrodku stanęła kilkopiętrowa kamienica na zsypkę ziarna przeznaczona; krowy mają wygodne, konie zbytkowe pomieszkane, słowem dałoby się powiedzieć, że pokolenie dzisiejsze zastało kraj drewniany a murowany odda swym potomnym. A dworek glinkowaty z swoim ganeczkim i gospodarskiem podwórkiem, należy do zabytków starożytności i zachowuje się tu i ówdzie jeszcze, zapewne na prozbę powieścio-pisarzy historycznych, którym wzór dając niemają pomaga do odbudowania w powieściach dawnej tego kraju postaci.

Wioska Starocice była jednym z takich miejsc, starożytności cechę noszących.

Pani X..., jej właścicielka, nie znała innej fabryki prócz tej, która się odbywa chłopkiem, kółkiem i snopkiem. Nasz ekonom szukający służby wprowadzony został do pokoiku, który stare swoje meble, równie jak i nazwanie alkierza Imościnego, zachował wiernie. Na kanapie cycem poszytej, siedziała dziewczeczka w czepku i szarafanie letnim; przed nią stolik czerwona serwetą nakryty, na nim taca z swoim imbryczkiem, garnuszkiem nie bez kożuszka, a filiżanka bez uszka.

— Bo to mój kochaneczku, ozwała się dama odganiając muchy od siebie raz lewą raz prawą ręką, potrzebujesz służby? mówiła mi Anusia; to dobrze, będziesz miał u mnie miejsce, bo to, potrzebuję ekonomo, musiał ci mówić mój arendarz; potrzebuję ekonomo, bo to mnie samej już trudno; dobrze kochaneczku, będziesz miał u mnie miejsce, bo to... mi się podobasz, bo to, może ci powiedział mój arendarz, że młodego ekonomo za nic w świecie bym nie chciała; bo to, ja lubię okrutecznie statecznie.

To mówiąc, odgoniła muchy raz lewą raz prawą ręką.

— Może kochaneczku, bo to napijesz się kawy? Ekonom się pokłonił.

— To dobrze kochaneczku. Anusiu, przynieś no filiżankę!

Wybiegła Anusia z drugiego pokoju i z kominka (gdzie sześć par filiżanek w niebieskie kwiatki, prochem dobrze posypane stały rzędem) wzięła jedną i zdmuchnąwszy nieco prochu, wyjąwszy z filiżanki szpilki, postawiła ją na tacy.

Pani odgoniła od siebie muchę prawą ręką i zapytała:

— Jakąże wolisz, bo to, ciemną czy mleczną?

— Jak łaska w. pani.

Pani odgoniła muchę lewą znowu ręką, i zawołała Anusi.

— Gdzież ona siedzi zawsze... Jakieś dobry kochaneczku, bo to, tam na kominku musi być garnek ze śmietanką, podaj go kochaneczku, podaj; ale prawda, bo to kot ją wypił. Zaczekasz odrobinę, nieprawdaż, bo to...

Dziedziczka odgoniwszy znowu muchy od siebie tą razą obiema rękami, zaczęła mówić do ekonoma:

— Bo to, musiał ci mówić mój arendarz, ja sama sobie gospodaruję. U mnie klucze od stodoł, spiklerza, od gruby, od mleka, bo to, mój wnuczek odmierza na targi, a Anusia bo to, karbuje pańszczyznę; otoż kochaneczku, przebrzydłe te muszyska (i odgoniła znowu lewą ręką muchy od siebie) bo to, musiał ci mówić mój arendarz; że ja potrzebuję ekonomą; ale bo to, który żeby mi razem był i mandatarium; bo to, żeby i lasu doglądał, a potem bo to, po nieboszczyku dużo mam interesów przeróżnych we formum, radabym mieć bo to, kogoś, coby to umiał chodzić za tem; mógłbyś też bo to także wieczorami uczyć wnuki moje elementarza, bo to jeden już zdał examin do sztuby, drugi zaczyna już sylabizować, bo to, przyjął ją była dyrektora do dzieci, może go znasz, bo to pokazało się, że pijaczyna z niego wielki, bo to....

Dziedziczka odgoniwszy znowu muchy i zażywszy tabaczki, mówiła dalej:

— Musisz wiedzieć nasamprzód, że ja, bo to, jestem wielką nieprzyjaciółką cielesnych kar, bo to, nie nawidzę bicia, i może ci mówił mój arendarz, bo to, ja postanowiłam sobie takie prawo; bo to, dla każdego, kto stłucze szklanę, ryński zapłaci; kto szybę wybije, ryński; za zgubiony korek bo to po trzy grajcarey płaci, jeżeli który się upije z parobków lub dziewczek, za karę trzy cwanegygiery musi mi zapłacić, bo to, dla przykładu.... Ale i ty kochaneczku, będziesz musiał... dla porządku, bo to, u mnie ekonom musi mi odpowiadać za wszystko; za każdą, bo to, szkodę w polu, albo w stajni; zdarza się, że wół padnie, bo to czasem koń straci podkowę, zginie worek, bo to tego nienastarczona rzecz, nie uwierzysz kochaneczku, ile to do roku szkody przy gospodarstwie; bo to, rozumie się, że remanent pańszczyzny musisz mi także zapłacić, bo to, ja co miesiąc obrachunek zrobię, a potem, to się bo to odtrąci z pensii, bo to....

Ekonom wysłuchawszy do końca całą tych przewinien i kar litanie, przedłożył pokorne zapytanie, jaką w. pani wyznacza pensję officialście, któryby się podjął tych funkcii, to jest: ekonomą, mandatarium, leśniczego, plenipotentą i wnuków instruktora.

Dziedziczka odganiając muchy od siebie, myślała, dumiała długo, nareście rzekła:

— Bo to, kochaneczku, wyznaczę ci pensii rocznej, to jest od s. Jana wyznaczę ci sto reńskich, bo to, tych szajnych, bo to, zaczekaj niech skombinuje.... A co kochaneczku, będziesz miał dosyć, bo to musiał ci mówić mój arendarz....

— Nie, w. pani, z arendarzem nie gadałem o tem wcale, alebym myślał....

— Cobyś co to myślał, kochaneczku?

— Myślałbym, że w. pani może co postąpi jeszcze, inaczej na zapłacenie tych wszystkich kar może nie wystarczy pensia.

— Ale bo to, ty powiadasz, że to mało? Straszna rzecz, jakieście podrożeli, moi waspanowie, bo to przecie pamiętam, nieboszczyk płacił ekonomowi 50 tynfów do roku. A przecie to dawniej, bo to były dobre czasy, a potem bo to widzisz kochaneczku, sto reńskich, wiele to, bo to, na to trzeba sprzedać ziarna; spytaj się tylko mojego arendarza. A gdzie to się oddalas kochaneczku? zagadała dziedziczka do zbierającego się do wyjścia ekonomą.

— Idę, odrzekł zapytany; idę dopełnić rozkazu w. pani dobrodziki, i zapytać się arendarza.

— Oh, oh z ciebie kochaneczku jak widzę filuta kawalek, przemówiła pani.

— Idź, idź z Bogiem.

Ekonom odszedł i odjechał, i wiele innych objechał dworów; w końcu nawrócił dyszlem do Starolic, powziąwszy z odbytego przeglądu pp. pryncypałów dzisiejszych to przekonanie, że staremu ekonomowi jeżeli służyć dzisiaj, to chyba w Starolicach.

Rodzimir.

Listy z Wrocławia.

(Dokończenie.)

Było, jak każde inne miasto, obwarowane murami, najeżone strażnicami, miało także swoje bramy na noc z trzaskiem zamykane. Wieniec wysokich wież kościelnych wynosił się nad spiczaste, kominami najeżone dachy kamienic; te pasem muru ścisnięte, nie mogąc się rozszerzać, pchały się w górę w coraz wyższe piętra, kończyły się w spiczaste wieżyczki. I dzisiaj jeszcze, jak w innych starowiecznych miastach, dojrzyś we Wrocławiu znamię tego zewnętrznego nacisku na miasto. Niektóre ulice starej części miasta są wąskie, ciasne, kręte, domy w tych ulicach widocznie dla braku miejsca wyciśnięte w górę. Ale jak te domy z czasów dawnych dają nam poniekąd wyobrażenie o wieku, z którego pochodzą; tegoczesne budowle, któremi dopełnia i rozszerza się miasto, te ogrody i spacerki, które w miejscu wałów zburzonych powstały, przedstawiają nam, jakby w symbolmacie, tę swobodę i wygodę, do której tęskni, dąży, której potrzebuje wiek dzisiejszy.

Ale Wrocław, który do r. 1810 był jeszcze twierdzą w całym średniowiecznym znaczeniu, dzisiaj nie pokaże tobie jednej cegły z murów swojego więzienia; ani śladu wałów, tylko, jakoby na pamiątkę tych bram zamykających się po zachodzie słońca, pobiera po dziś dzień na jednym moście grosz wchodowy od każdego przechodnia.

Wrocław leży nad rzeką Odrą, w równinie, jak pająk w środkowym oku tej pajęczyny dróg rozkrzyżowanych na wszystkie promienia; temi drogami (jedne zwirowe, drugie żelazne) chwytają pp. pasażerów i do siebie przyciąga.

Zdaleka przedstawia widok wspaniały, imponuje swojemi kościołami. Potężne i wysokie wieże stoją jakby pomniki tego średniowiecza, który miewał myśli olbrzymie, kiedy zakładał fundamenta na domy bogu poświęcone; a mocny w tej wierze, że dopóki ziemia nosić będzie ludzi, ludziom będzie potrzeba kościołów, budował kościoły, co stać miały do końca świata. Kościołów jest tu katolickich 18, ewangelickich 10, klasztorów 3, wszystkie niemal są architektury gotyckiej, a wiele godnych widzenia; o niektórych wspomnę.

Wrocław ma przeszło 100.000 mieszkańców; nie licząc Pragi, trzy tylko znajdziemy miasta w Niemczech gdzie ludność jest większa, jakoto: Berlin, Wiedeń i Hamburg.

Wrocław jest stolicą pełną wrzawy i ruchu, sklepów i kościołów, ogrodów i pomników; jest stolicą, ale bez angliczowanych koni, bez szwajcarów z laskami, bez galonów, bez herbów na karetach; ale co gorsza, tu i karet nie widać, a fiakry tutejsze są jednokonne.

Z wielu szczegółów tutejszego publicznego życia widać, że społeczność zamieszkująca to nadodrzańskie miasto, przyjęła na godło sobie oszczędność.

Potrzeba i wygoda, kupiectwo i giełdownictwo, oto są znamiona tej słazkiej stolicy; tu (mówiąc po polsku, z kredką w rękę oddają się nawet zabawom i roskoszom.

Czy to kupiec, czy urzędnik, posiadacz ziemski, czy miejski mieszkaniec, każdy żyje bez wystawy, skromny w życiu i okryciu, skromny nawet w gościnności, a jeżeli przyjdzie komu ochota pozbycia się pieniędzy mniej potrzebnie, w tym celu wyjeżdża do Berlina, albo za granicę; czyni to może dla tego, ażeby nie dał z siebie gorszego przykładu w mieście rodzinnem.

Dla tego we Wrocławiu jeżeli jest jaki pałac, to królewski, jaki gmach to uniwersytet, to koszary, to dwór kolejowy, to giełda; jeżeli są oberze to dla pp. pasażerów, których długi rejestr codzienna gazeta umieszcza.

Wrocław jest miastem sklepów. *) Ale nie pytaj się o galanternika albo jubilera, masz natomiast skład przy składzie rzeczy, których użytek w życiu człowieka rzetelny. Tu magazyn nieprzebrany stolarskich wyrobów, tam sklep parasoli, owdzie tłumaczki podróży, tu kram pularosów, w tej budzie, gdybyś zapotrzebował, możesz nabyć 5.000 par kaloszy. Rozumie się, że we Wrocławiu na każdej ulicy dostaniesz kawy i cukru, cygarów i zapalek, papieru i laku, piór i wexli, chleba nareście i bułek, które mają swoje osobne sklepy pod firmą pieczywa. Ale wystrzegaj się, ażeby cię nie spotkało nieszczęście; stłuczysz swoje okulary, będziesz niezawodnie chodził po mieście bez okularów; tu ludzie widzą zdrowo, na okulary nie ma odbytu. Ale natomiast nie zabraknie tu nigdy czepków i kapelusików, wstążeczek i fartuszków, bo

ubrać się zgrabnie, przystroić talję szalikiem, u Słazaczki nie jest grzechem.

Znajdziesz tu także całemi beczkami cykorię, bo rodowy napojem Wrocławian jest kawa. Starą prawdę: »co kraj to obyczaj« można zastosować do kawy; gotują ją i piją we wszystkich częściach świata, we wszystkich krajach, a w każdym kraju inaczej ją gotują, inaczej piją; a każdy kraj chwali swoją kawę a gani cudzą; ale w tej mierze my jedni mamy słuszność za sobą, bo przecie kawa polska z polską śmietanką najlepsza, i w tem mnie nikt nie przedysputuje.

Drugim napojem mieszkańców Wrocławia krajowym i zdrowym, jak to mówią (*in quo nati sunt*) jest piwo.

W Wrocławiu znajdziesz i historyczne piwiarnie, data założenia niektórych sięga XIV wieku, jeżeli nie wcześniejszej epoki; niektóre i w kronikach znalazły swoje miejsce, swoje wspomnienie; piwo gra niepospolitą rolę w pamiątkach Wrocławia.

Była na ratuszu i dotąd stoi otwarta piwnica, świdnicka piwnica, w niej bywał skład i wyszynk świdnickiego piwa. Król Maciej Corvinus, zagniewany pewnego razu na radę miejską wrocławską, nazwał ją świdnicką piwnicą, znać razyla się suto piwem.

W roku 1469, gdy nadeszła wiadomość z Ołomuńca o obraniu tegoż Corwina na króla czeskiego, Wrocławianie po *Te Deum* zatoczyli na rynek beczki z piwem, wypiwszy piwo z beczek, zrobili fajerwerk; mówi kronika, że w czasie oblężenia Wrocławia za króla czeskiego Jerzego Podiebrada, brak świdnickiego piwa w mieście, był jedną z największej przykrości, której doświadczyło.

Świdnickie piwo stało się pewnego razu powodem do wyklęcia miasta przez biskupa. Dodamy, że jeden poeta wrocławski uczcił nektar ten świdnicki odą zamieszczoną w dziele *Parnassi Silesiaci (Centuria, Auctore Johnio 1729. Początek ody taki:*

*Cui tu Scepsciade semel
Guttur Bresliaco nectare tinæris,
Illum non acheloja
Tentabunt gelido pocula flumine,
Non crudi levis Amphora
Rheni Bachorico femine proluet
Potorem etc...*

Ale wyjdźmy już z piwnicy, po drodze wstąpiemy do cukierni. W tem mieście kawowem, kawiarni nie ma, tylko cukiernie; może dla tego, że w cukierni nie rozwinie się nigdy tak głośna wrzawa jak w kawiarni, a Wrocławianin bawi się bez wrzawy. Cukierni naliczysz tu wiele, nad wszystkiemi prym otrzyma conditoria p. Jordana, w gmachu teatralnym umieszczona. Ciepło, pięknie, błyskotno i gustownie, i cicho jak w świątyni; tu wchodzi i wychodzą bez trzasku, rozmawiają bez wrzawy, czytają gazety i pisma bez przeszkody.

Godna jest przypatrzeć się intelektualnemu życiu mieszkańców Wrocławia. Zbłądzą może, gdy powiem, że tętno tego życia bije zeicha, bije zrzadka; prócz dwóch pism politycznej treści, dwóch rzado-

*) Znajdziesz tu wiele sklepów z polskimi napisami.

wych *Regierungsblatt* i *Kreisblatt*, wychodzi w Wrocławiu jakiś *Erzähler* i *Beobachter*, oba interesują publiczność miejscową, bo zamieszczają najdokładniejsze spisy z listy wchodzących do stanu małżeńskiego, urodzonych i umarłych. Jakkolwiek Wrocław słabym jest producentem w zawodzie literatury, nieostatnim jest konsumentem, w cukierniach znajdziesz wszystkie niemal północnych Niemiec czasopiski; z południowych mało które, albo żadne. Miasto augsburskiej, tak zwanej powszechnej, (tej nie spotkałem nigdzie w Prusiech) czytają lipską powszechną, manheimską, hamburską; gazetę z Weseru i Bremy. Jak wiadomo, dwa te pisma tem są dla północnych Niemiec, dla Ameryki i całego zachodniego świata, czem augsburska dla Austrii i Wschodu.

Za niejaką skalę potrzeb umysłowych Wrocławia można wziąć liczbę znajdujących się tu księgarń i czytelników; pierwszych jest 18 a drugich 5*).

O ile sięga pamięć moja, pierwsza książka, którą dzieckiem będąc nazywałem moją, była książka w Wrocławiu wydana przez Bogumiła Korna. Od tej pory czytało się i przerzuciło książek wiele, wielka część nabytych długim mozolem, utrudzającą nauką wiadomości, zatarły się z pamięci, obrazek tego Hussa na stosie, na który patrzyłem dzieckiem będąc, stoi mi jeszcze przed oczyma, jak i powieść wtenczas słyszana, dotąd tkwi w pamięci. Byłażto wdzięczność za ten podarek? była to może ciekawość poznania księgarń noszącej firmę dawniej tyle głośną w Polsce, którą powodowany wstąpiłem do księgarń na świnińskiej ulicy, do księgarń dawniej Bogumiła Korna, dziś synów jego.

Nie pomnę czegom się spodziewałem, wyznam wszelako, że zawód mój był zupełny. Młody p. buchalter tej starożytnej księgarńi zdawał się mieć bardzo niedokładną wiadomość o tem, że były czasy, kiedy Korn był jednym z najczynniejszych nakładców i wydawców polskich, że on to wydrukował dla narodu pierwszą pragmatyczną historję Polski Bandkiego, i rycinami ją ozdobił, po której wydał inne dziejów naszych zarysy, jakoto: historję Faleńskiego, Nougareta w przekładzie, i inne; nadto rok rocznie przez lat 40 wysyłał dla dzieci polskich książki i książeczki rozmaitej treści z obrazkami i mapami, i w takiej ilości, że nie było domu u nas, gdziebyś nie znalazł jednego bodaj dziełka elementarnego edycji Bogumiła Korna. Jaka tych książek tyle rozpowszechnionych w Polsce była wartość? nie miejsce mówić o tem.

Dzisiaj księgarńia Korna szczupły ma zapas polskich książek, przez ciąg roku zeszłego wydała, ile mi wiadomo, trzy tylko dzieła polskie.

*) Lwów ma księgarń 4. Czytelnię jedną; różnica w liczbie nie odpowiada stosunkowi ludności tych dwóch miast.

Potrzebujący książek polskich nowszych czasów, znajdzie takowe w księgarńiach Hirta, także u Schlettera. Ale zapyta może kto, z kąd poszło, iż we Wrocławiu, w tem mieście niemającem publiczności polskiej, rozwinęła się tak czynna fabryka książek polskich? Może obudzi się w nas ciekawość dowiedzieć się, w której epoce pojawiła się pierwsza polska książka drukowana za granicą, jakie zdarzenie dało ku temu pocho i powód. Przedmiot ten znajdzie zapewne swojego rozpoznawcę i relatora. Uczynił to A. Tyszyński publicznie w znanem dziele swoim *Amerykanka w Polsce*. Ile mi wiadomo, miasto Lipsk dało pierwszy przykład tej (że powiem po prostu) spekulacji literackiej, wydaniem dykcjonarza Troca, Argenidy Potockiego *) i Telemaka. Było to w pierwszej połowie zeszłego wieku. O tym czasie pojawiło się także w Lipsku wydane dziełko francusko-polskie: *Livre du moyen age*, z obrazkami; książka ta dwujęzykowa w swoim rodzaju pierwsza w Polsce, ponieważ odpowiadała potrzebie owoczesnej (francuszczyzna zaczynała wchodzić w modę) znalazła dobre przyjęcie w kraju, a jej odbył wielki mógł zachęcić nakład do więcej podobnych przedsięwzięć. Zmienia się stan rzeczy w kraju, u schyłku zeszłego wieku wielu Polaków wyjeżdża za granicę, tam pisze, tam i drukuje; we Wrocławiu Wybicki drukuje swoje »Godziny szczęśliwe;« książkę Alexander Sapieha: »Podróż po krajach słowiańskich;« w Frankfurcie wydany przez nieznanego: »Fragment biblii targowickiej;« w Parmie: »Sofijówka« Trembeckiego. **) Od tej epoki datuje się czynne nakładnictwo polskich książek Bogumiła Korna. Z tegoż oficyny sypią się, jak z rogu obfitości, i rozsypują po wszystkich prowincjach naszych dzieła i dziełka polskie różnej treści; obija się razem o ucho nasze imię jakiegoś literata Kainka, tłumacza i przerabiacza książek obcych na polskie ***) dzisiaj drukują się polskie książki w Petersburgu i Berlinie, w Wiedniu, Paryżu, Londynie, Edynburgu, Lipsku, Królewcu i innych miastach za granicą; we Wrocławiu z oficyny Schlettera, wyszło temi czasy wiele dzieł polskich ważnej treści, i każde z mniejszych miast górnego Ślązka posiada drukarnię polską; wychodzą dziełka w Głogowie, Opolu, Brzegu, Gliwicach i w Pszczynie, gdzie wychodzi także pismo czasowe: »Tygodnik dla ludu.«

(List drugi nastąpi)

*) Wtóra edycja Argenidy w Poznaniu r. 1743.

**) W Parmie u Bodoniego wyszła kosztem Jana hr. Tarnowskiego: »Świątynia Wenery w Knidzie«, tłumaczenia Szymanowskiego.

***) Kainka w młodości swojej był braciszkiem w pewnym klasztorze OO. Bernardynów, zostaje sekretarzem arcybiskupa którego także nadwornym jest malarzem, później przechodzi na luterską wiarę i bierze sobie żonę. Niedostatkiem przyciśnięty rewokuje swoje odszczepieństwo i na stare lata osiada na Bielanach, pod krakowem.